

**MOJE ŻYCIE
Z SIMONĄ
KOSSAK
LECH WILCZEK**

MARGINESY

Jak zgryźć
ten orzech?



Zostałem ją kiedyś samotną pośród puszczy, majstrującą coś przy motorowerze. Odmówił posłuszeństwa. Stała nachylona nad nim, z dziwnie przekrzywioną głową. W jednej ręce trzymała wykręconą świecę, drugą napinała pasemko swoich włosów. Z braku potrzebnych narzędzi usuwała nimi przyczynę awarii – mostek z nagaru między elektrodami, uniemożliwiający zapłon.

Innym razem, wracając wietrznym zimowym wieczorem na Dziedzinkę, zobaczyłem w mroku puszczy przed samochodem jakąś niezwykle jasność na drodze. Podjechałem bliżej. Przede mną stał fiacik z pracującym silnikiem. Oświetlał reflektorami tarasującą drogę koronę wywróconej przez wiatr starej brzozy. W tej koronie, wymachując dziarsko siekierką, krzątała się dobrze znajoma, nieduża postać. Simonka wyrąbywała sobie przejazd. Wprawdzie mieliśmy telefony komórkowe i, wezwany, mógłbym porzucić piłą motorową i usunąć ciągnikiem zawalidrogę, ale uznała, że sama też sobie poradzi. To była Simona jak na dłoni. Simona, rzec by można, w pigułce. Prawdziwa dusza nieujarzmiona.





Po dwóch latach
– para nomadów
na pełnym luzie
w wiosennym słońcu





Po ćwierćwieczu
jeszcze dziesięć
spokojnych lat

Niezwykłe odważna, sprawdzała się świetnie nie tylko na przygranicznym odludziu, ale także wtedy, gdy z rzadką odwagą cywilną, walcząc o słuszność, występowała publicznie przeciwko mocno ufortyfikowanej większości. Lekceważyła wszelki blichtr, sznyt i szpan. Jeśli skupiała na sobie uwagę, to tylko w niezamierzony, żywiołowy sposób – dowcipem, refleksem, elokwencją. Miała bardzo skromne wymagania osobiste, ubierała się tanio, z właściwym sobie smakiem i zapewniającym wygodę luzem, w popularnych szmateksach. Ze zdumiewającym wyczuciem wydobywała ze stosów używanej odzieży użyteczne i gustowne rzeczy. Niczym drożdź, zanurzający dziób w porośniętej murawą ziemi po niewidoczną dżdżownicę, zanurzała po prostu rękę, a to, co się w niej znalazło, z reguły budziło zawistne spojrzenia innych klientek.

Pieniądze, o czym mało kto wiedział, wołała wydawać, nierzadko anonimowo (bo pomyśla, że jestem taka bogata i mnie napadną), na cele fundacyjne albo na konstruktywną pomoc osobom prywatnym. Była z pewnością jedynym na świecie profesorem doktorem habilitowanym jeżdżącym maluchem. Tyle że, dla świeżego powietrza, z otwieranym oknem w dachu. Kiedyś po ministerialnej konferencji w Warszawie ważna osoba odprowadzająca ją do samochodu, widząc do czego wsiada, powiedziała: „Pani profesor, pani chyba przesadza”.

Jako sprawny, rozważny, bezwypadkowy kierowca, z reguły nie przekraczała dozwolonych prędkości. Po rowerze i motorowerach miała kolejno trzy fiaciki. Wiązą się z nimi rozmaite wesołostki. Pierwszy został poważnie uszkodzony przez pijanego kierowcę na parkingu przed białowieskim Instytutem Badawczym Leśnictwa. Siedząc przy komputerze, usłyszała przejeżdżającą półciężarówkę i nagły łoskot. Wyrzała przez okno, obcy samochód szybko odjeżdżał, spojrzała na swój. Stał tam, gdzie go zostawiła. Dopiero po chwili odkryła, że w odwrotnej pozycji. Uderzony gwałtownie z prawej strony od tyłu, wpadł na betonową podmurówkę ogrodzenia, odbił się i obrócił.

Drugi służył długo, nie wytrzymał w końcu wieloletnich przejazdów trasą regularnie niszczoną przez ciężkie maszyny, wywożące z puszczy





Pośród puszczy...

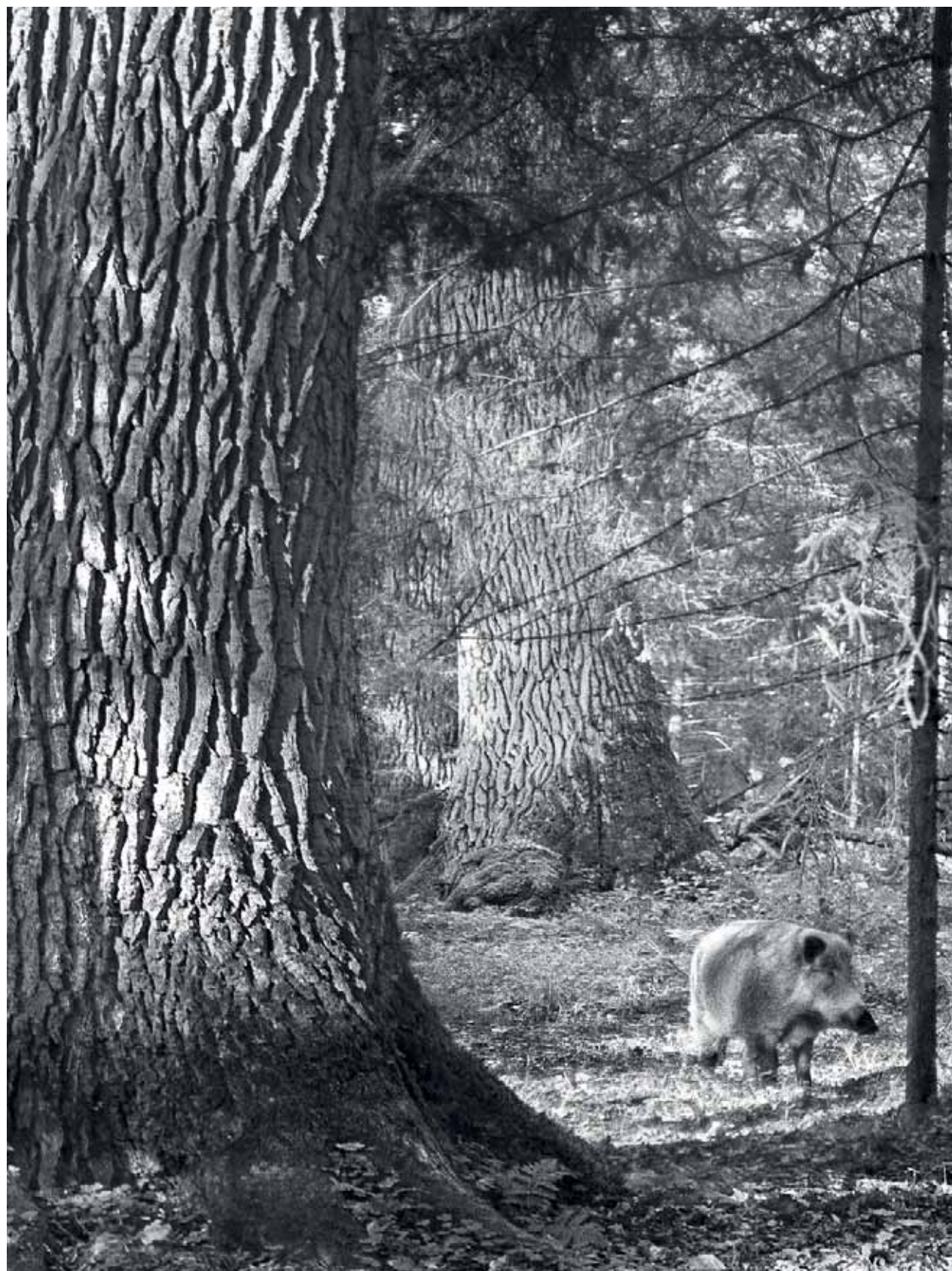
pnie wyciętych drzew. Częściej przypominała ona fabryczny tor przeszkód do badania wytrzymałości pojazdów niż normalną leśną drogę.

Wracła późną nocą z uroczystości nadania imienia Wojciecha Kosaka znakomitemu Liceum Plastycznemu w Łomży. Coś od czasu do czasu w samochodzie chrobotąło. Zajechała na Dziejczkę grubo po północy. Wysiadła, otworzyła bramę, próbuje ruszyć, a tu zgrzytnęło ostro i ambitny maluszek, dowiózłszy ją dzielnie przed sam dom, ostatecznie odmówił posłuszeństwa.

Ostatni fiacik wyglądał wręcz elegancko, oprócz szyberdachu miał nietypowy kolor – gustowny zielonkawy metalik, na który postanowiła pomalować samochód wkrótce po dokonaniu zakupu. Malującemu białowieskiemu mechanikowi, który miał dokonać tego przeobrażenia, dała na wzór swój solidnie nadgryziony zębem czasu, od dawna





















Rysiatko
trenuje łowy



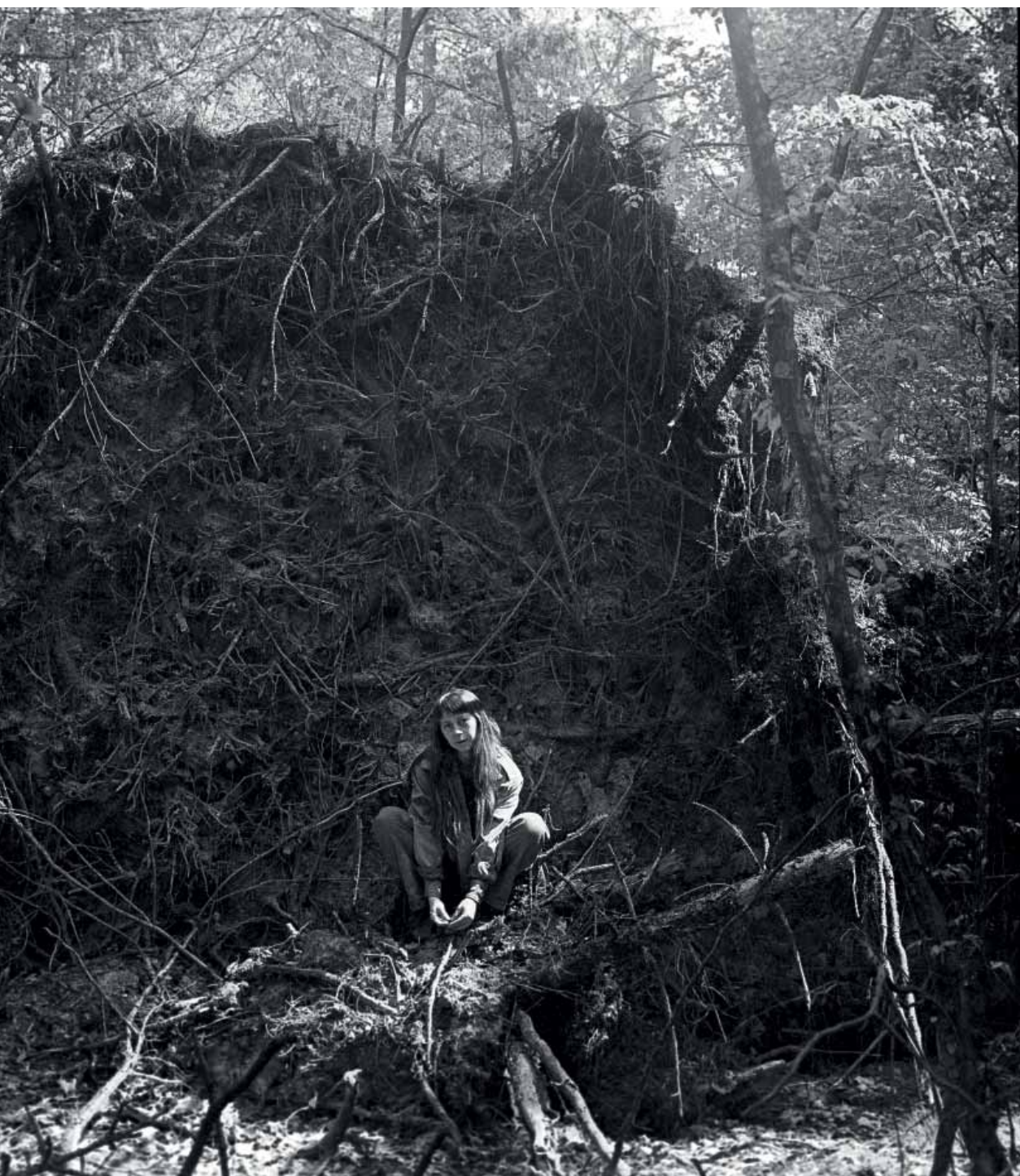












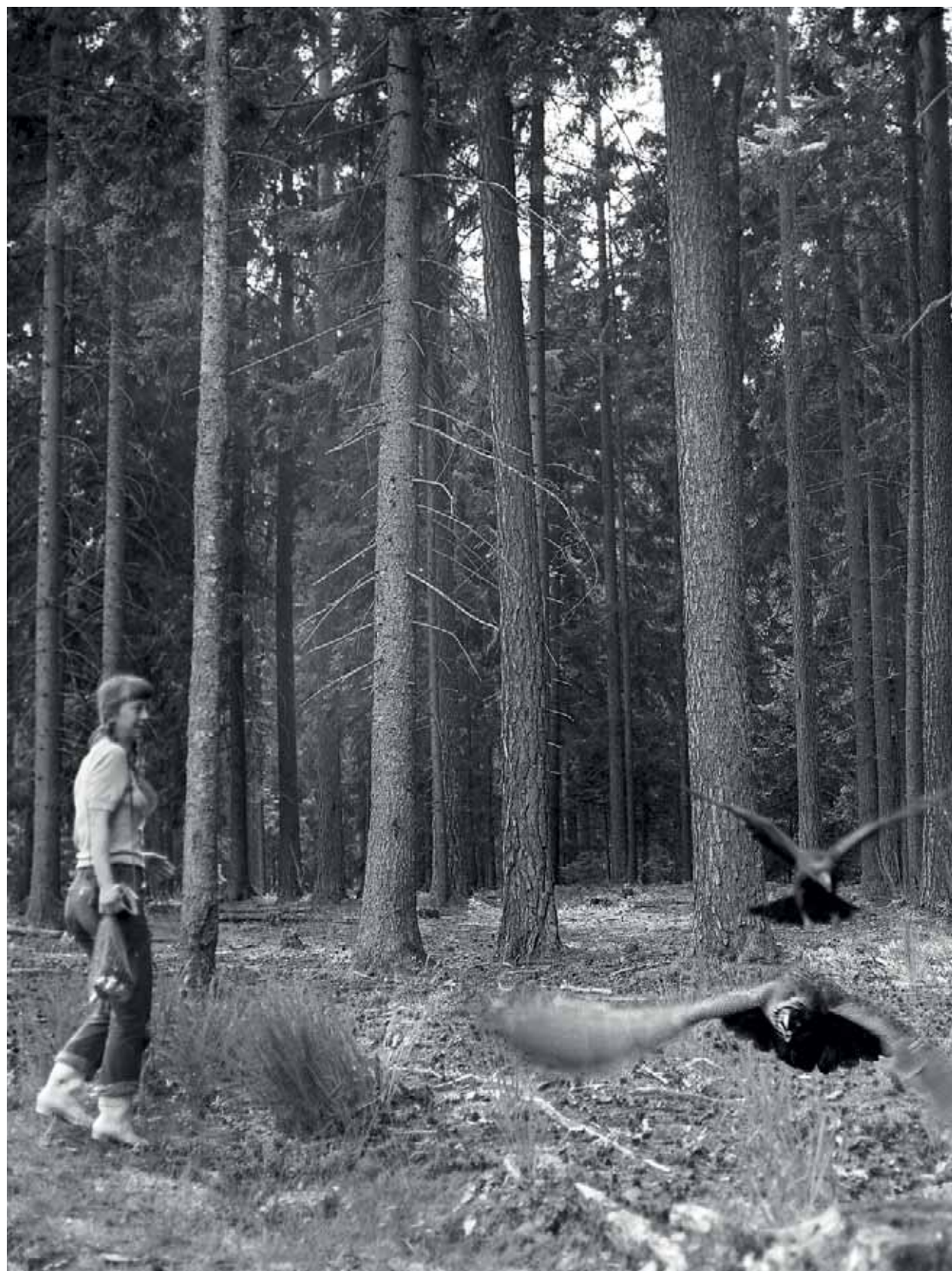






W kolonii bobrów
nad rzeką Łutownią
z przyjaciółmi, Januszem
i Grażynką





nieużywany sweterek. Nie udawało mu się utrafić w punkt z barwą. Zakład w Bielsku Podlaskim też sobie nie poradził. Pojechali razem do specjalisty w Białymstoku. W obliczu trudności fachowiec filuternie zapytał: „Pani profesor, czy nie prościej byłoby kupić nowy sweterek?”.

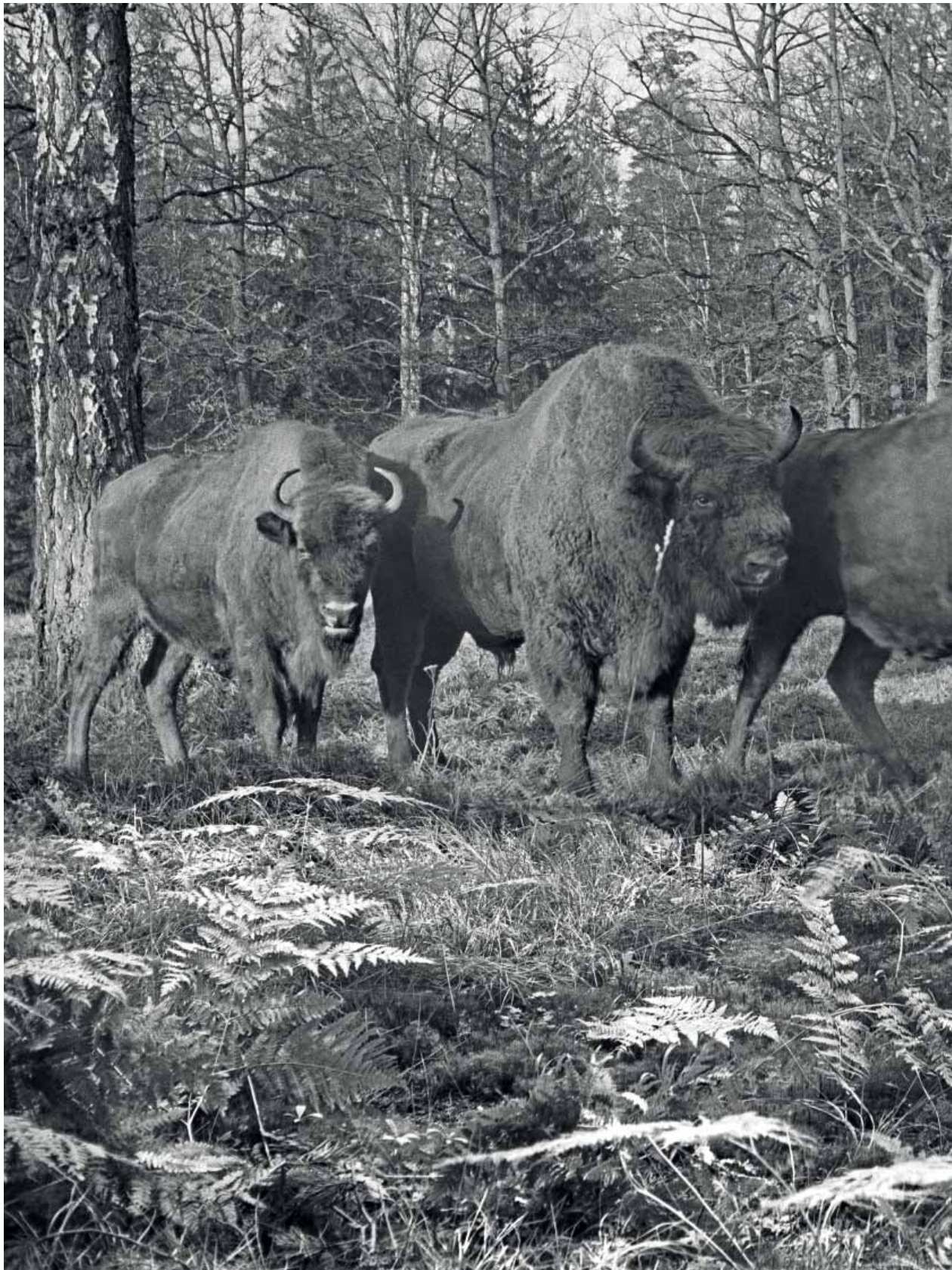
Miała szerokie zainteresowania. Zgromadziła setki książek z różnych dziedzin. Obok najliczniejszych o wszystkim, co dotyczyło zwierząt i roślin, wiele innych – z zakresu różnych kultur, religii, minionych cywilizacji, zjawisk paranormalnych, UFO, lecznictwa, ekologii, ekofilozofii, psychologii, historii sztuki, istne kompendium różnorodności tematów. Żywo ją ciekawiła archeologia i wszystko, co dotyczyło starożytnego Egiptu – obiektu jej zauroczenia. Niezwykle skostniałym poglądom i dogmatom, chętnie sięgała po książki autorów podważających rozmaite tabu.

Bardzo charakterystyczny był głęboko humanitarny, serdeczny stosunek Simony do zwierząt. Widziała w nich godnych szacunku współmieszkańców Ziemi, którym ludzie, z racji swego wysoko sprawnego intelektu będący na wygranej pozycji, winni zapewnić opiekę i możliwość przetrwania. Buntowała się przeciwko nieetycznemu, instrumentalnemu traktowaniu, bezlitosnemu mordowaniu innych stworzeń i zagarnianiu ich siedlisk. Zdawała sobie sprawę, że nasz gatunek, mnożąc się lawinowo (ponad 80 milionów więcej każdego roku), eksterminując inne istoty i jak żaden dotąd rabunkowo eksploatując środowisko, zagraża śmiertelnie całej strukturze ziemskiego życia, w tym także sobie.

Zdarza się słyszeć: kto bardzo lubi zwierzęta – mniej lubi ludzi. Simona, wielka przyjaciółka i orędowniczka zwierząt, była tej opinii zaprzeczeniem. W ich kręgu, radząc sobie z trudnościami bytowania pośród puszczy, zajęta pracą na etacie, pisaniem, przygotowywaniem codziennych audycji, kręceniem i opracowywaniem filmów, znajdowała czas na bezpośrednie, prospołeczne kontakty. Odwiedzała szkoły, szpitale, była lubianym gościem u niepełnosprawnych dzieci – wieszala potem z pietyzmem na ścianie mieszkania interesujące obrazki otrzymane w darze za rozmowy, opowieści i filmowe pokazy. Ofiarowała swoje książki do kasetowego wydania dla niewidomych. Prowadziła dyskusje z młodzieżą na forum internetu, dokumentowała te rozmowy z myślą o publikacji.

W zachowaniach Simony wobec bliźnich uderzała antyelitarność i prostota. Z tą samą uprzejmością, z nie innym uśmiechem uciniała sobie pogawędkę przed sklepem z osobą na społecznym świeczniku, jak i z tym i owym, z zamiłowania bezrobotnym pytającym o zdrowie,







sławną rodzinę, który chwalił za audycje, kończąc życzeniem: „dwa złote na piwo”.

W Ameryce, w jednym z najcięższych zakładów karnych dla najgorszych przestępców niespodziewanie zmniejszyły się kłopoty z osadzonymi. Ktoś wpadł na pomysł, żeby dać im pod opiekę i do tresury psy mające w przyszłości służyć poszkodowanym w różny sposób ludziom. Zapiekli w swojej nienawiści do społeczeństwa więźniowie, doświadczając bezinteresownej psiej przyjaźni, zaprzyjaźniali się ze swymi podopiecznymi, troszczyli się o nich, powściągali swoją agresję, łatwiej nawiązywali kontakty z towarzyszami i więziennym personelem.

Zwierzęta wzbogacają nasze życie. Mogą bardzo korzystnie wpływać na ludzi. Ratują przed osamotnieniem, zagubieniem, umożliwiają przynoszące ulgę otwarcie. Psy, delfiny, konie sprawdzają się znakomicie w leczeniu rozmaitych psychicznych anomalii i w przywracaniu fizycznej sprawności. Bliski kontakt ze zwierzętami uspołecznia ludzkie dzieci, rozbudowuje uczuciowość, odpowiedzialność.

Brutalność wobec [naszych zwierzęcych braci] oznacza brutalizację naszego postępowania także wobec ludzi.

Kultura, którą cechuje współczucie dla zwierząt, jest kulturą wrażliwości także w innych dziedzinach.

Kultura, świadoma pokrewieństwa ze zwierzętami, jest kulturą szacunku dla własnych korzeni.

Desmond Morris, *Nasza umowa ze zwierzętami*, przeł. Krystyna Chmiel, Warszawa 1995

Czekałem na autobus do Białowieży. Naprzeciwko piętrzył się wysoki budynek dworca PKS z sięgającą nieba reklamą opon, polatywało nad nim kilka czarnych ptasich sylwetek. Schody w głąb dworcowego podziemia otaczała metalowa barierka. Na końcowym stanowisku stała spora gromadka podróżnych, nie wiedzieć czemu, nieuporządkowanych kolejką. Każdy z nadchodzących starał się zająć najkorzystniejsze miejsce, co owocowało rosnącym napięciem i wymianą niechętnych spojrzeń – zanosilo się na nieprzyjemny bałagan przy wsiadaniu. W pewnej chwili przyleciała kawka, usiadła na barierce pośród oczekujących i rozgadała się. Tokujące kawki często prowadzą między

Białowieżaneczka
Agnieszka Lickiewicz
ze swoją przyjaciółką
Łajką



sobą charakterystyczne pogwarki. Tutaj jednak ptasiego adresata brakowało.

Kawka była dorosła, miała dobrą kondycję, trudno było określić jej płeć. Samce i samice tego gatunku mają podobne stalowosiwoczarne szatki. Zdobią ich główki czarne połyskliwe czapeczki, spod których zerkają świadczące o bystrości oczy o charakterystycznej jasnej srebrzystoniebieskiej, odmiennej niż u innych krukowatych barwie tęczówki. Ptak zachowywał się tak, jakby chciał nawiązać kontakt z ludźmi i to mu się zaczęło udawać: wzbudzał coraz większe zainteresowanie, życzliwym uwagom towarzyszyła wymiana uśmiechów, a dotychczasowy chłód ulatywał.

Krótkim dźwiękiem w różnej tonacji kawka dodawała ekspresji, przestępując z nóżki na nóżkę i manewrując tułowiem.

„Ona chyba jest głodna” – powiedziała starsza pani.

Przebiegłem myślą po kieszeniach, ale w porządnym, rzadko używanym ubraniu trudno było spodziewać się czegoś interesującego. Przywdziałem je, bo miałem do załatwienia w Warszawie kilka spraw w ważnych urzędach. Przypomniałem sobie jednak, że w kieszeni eleganckich spodni mam kawałek kielbasy. W stolicy gościłem tylko kilka godzin, nie zdążyłem zjeść obiadu, więc stojąc na przystanku, pokrzepiłem się serdelową. Zamyśliłem się, tymczasem nadjechał tramwaj, wsiadając w pośpiechu, wepchnąłem ją w wątlęj śniadaniówce do kieszeni. Niestety, wyzwolona, w ścisku przyhołubiła kilka drobnych monet, które odlepiwszy się, odpadły teraz i wylądowały w błotnistym zagłębieniu trotuaru. Bałem się po nie schylić, żeby nie spłoszyć tokującej o krok kawki. Uczyniła to za mnie z przemiłym uśmiechem stojąca obok całkiem nieznajoma panienska.